

## WSPOMNIENIA PROF. STANISŁAWA URBAŃCZYKA

26 marca 1993 roku w Auli Lubrańskiego wręczono dyplom doktora *honoris causa* Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu wybitnemu polskiemu językoznawcy, poloniście i sławiście prof. dr. hab. Stanisławowi Urbańczykowi (1909-2001). Jego zasługi dla poznańskiej polonistyki trafnie opisał dziekan Wydziału Filologii Polskiej i Klasycznej UAM prof. Wojciech Rzepka: „Wracamy w tym uroczystym dniu pamięcią do lat powojennych, gdy w lutym 1947 roku obejmowałeś Katedrę Języka Polskiego na Uniwersytecie Poznańskim. Gdy po wojennej przerwie i zniszczeniach organizowałeś na nowo w Poznaniu językowe studia polonistyczne, prowadziłeś wykłady i seminaria, przewodziłeś jako Dziekan naszemu Wydziałowi (podówczas jeszcze Wydziałowi Humanistycznemu). Przewodziłeś mu w czasach bardzo trudnych, w sposób godny, który zjednał Ci powszechny, głęboki szacunek. Kształciłeś wówczas uczniów i następców, dziś już od dawna znanych i cenionych profesorów, seniorów obecnego Zakładu Języka Polskiego, którzy teraz z radością i wzruszeniem uczestniczą w tej podniosłej uroczystości swojego Mistrza i Profesora”. Podczas uroczystej promocji prof. dr. hab. Stanisław Urbańczyk wygłosił przemówienie o charakterze wspomnieniowym, którego tekst prezentujemy poniżej<sup>1</sup>:

Magnificencjo! Wysoki Senacie, Szanowny Panie Dziekanie, Szanowny i Drogi Promotorze!

Dziś przeżywam jeden z najbardziej radosnych dni w moim długim życiu! Jak pisałem do Jego Magnificencji Rektora, dwa są uniwersytety najbliższe mojemu sercu: Uniwersytet Jagielloński, który mi dał wiedzę w najlepszym gatunku, i Uniwersytet Adama Mickiewicza, w którym spędziłem swoje najlepsze nauczycielskie lata: tu zyskałem utalentowanych uczniów, teraz profesorów w kilku uniwersytetach, a równocześnie moich przyjaciół, tu zostawiłem ślad swojej działalności.

Od czasu, jak opuściłem Poznań, Uniwersytet wraz z miastem urósł, rozszerzył obszar swojego działania, wychował wielu uczonych, działaczy społecznych i polityków. Byłby z nich dumny jego patron, Adam Mickiewicz. Gratuluję tych osiągnięć i z serca życzę dalszego rozkwitu i sławy!

---

<sup>1</sup> Tekst przemówienia pochodzi z okolicznościowej publikacji: *Stanislaus Urbańczyk - doctor honoris causa Universitatis Studiorum Mickiewiczianae Posnaniensis* : 26 V 1993, seria: *Doktorzy honoris causa* nr 20, Poznań 1994, s. 17-28; Uzupełniony został o brakujące imiona wymienionych osób. Wiele przedstawionych tutaj wątków zostało szczegółowiej opisanych w książce Stanisława Urbańczyka pt.: *Z miłości do wiedzy – wspomnienia* (Kraków 1999).

Tradycja pozwala nowemu doktorowi przedstawić referat naukowy lub wypowiedzieć wspomnienia z drogi życia. Wybieram to drugie, wspomnienia związane z Waszym i moim Uniwersytetem, przeżycia sprzed czterdziestu kilku lat, które już zasłoniły się mgłą czasu, a większości tu obecnych są bardzo odległe.

Wiele osób uważało i może uważa mię za Wielkopolanina, ponieważ kiedyś w Poznaniu byłem profesorem, niektórzy znów słyszeli, że mam rodzinę w Wielkopolsce. Jedno i drugie jest prawdą, a mimo to jestem Krakowiakiem i krakowianinem. Nazwę Krakowiak rozpoczynam dużą literą na znak, że przynależę do grupy regionalnej, mieszkającej w okolicach Krakowa. Urodziłem się w Kwaczale (35 km na zachód od Krakowa), we wsi wtedy bardzo biednej i ludnej. Mój ojciec uchodził za bogacza; miał murowany dom, konia, 6 hektarów i jedenaścioro dzieci. Byłem w pierwszej piątce chłopców z naszej wsi, którzy poszli do „szkół”, jak się to mówiło, czyli do gimnazjum; należało do niej dwóch moich starszych braci. Ja miałem zostać na wsi, stało się inaczej.

W roku 1921 poszedłem do szkół, a ojciec parę miesięcy później sprzedał, co miał, i kupił w okolicach Jarocina duże gospodarstwo dzięki wielkiej taniości ziemi. Tu przepracował bez mała 30 lat, tu w Wielkopolsce mieszka przeważna część rodziny, tu groby rodziców, braci i sióstr. Ale w Krakowie zdałem maturę, tam zostałem po kolei magistrem, doktorem, docentem, wreszcie profesorem. W sumie 63 lata przeżyłem w Krakowie, więc jestem krakowianinem. Wszystkie jednak ferie spędziłem w Wielkopolsce u rodziców, pracując ciężko przy żniwach, co mojemu zdrowiu wyszło na korzyść. Poznałem obyczaje tutejsze i gwarę okolic Jarocina. Nie powiem, że mam serce rozdarte między Poznań i Kraków, bo oba te miasta można kochać równocześnie.

Habilitowałem się w lipcu 1945 roku. Byłem dalej zatrudniony jako adiunkt, bo docentów etatowych, płatnych jeszcze wtedy nie było; docent był „bezcen”, ponieważ miał obowiązek co roku wyklądać przez trymestr bezpłatnie. Latem następnego roku otrzymałem propozycję objęcia katedry filologii słowiańskiej w Toruniu. Wprawdzie była wolna katedra w Krakowie, ale prof. Kazimierz Nitsch powiedział mi, że powinienem w innym uniwersytecie pokazać, co umiem. Nie chciał, aby mu wytykano nepotyzm, bowiem moja żona była jego bratanką. Zostałem więc profesorem nadzwyczajnym kontraktowym filologii słowiańskiej w Toruniu. Profesorem języka polskiego był formalnie Witold Taszycki, faktycznie nie wyklądał. Od półrocza 1946/1947 prof. Witold Taszycki porzucił pracę

w UMK, więc po nim objąłem katedrę języka polskiego; przedtem zajęcia zamiast niego prowadzili asystenci, mgr Stefan Hrabec i mgr Przemysław Zwoliński.

Czułem się w Toruniu dobrze, uczniowie byli sympatyczni i chętni, ale nie dostałem mieszkania i jakoś o tym mowy nie było. Dojeżdżanie do Torunia było męczące. Pociągi chodziły nieregularnie, pomału, sypialnych wagonów nie było, musiałem się przesiadać w Poznaniu, także w Inowrocławiu. Dlatego gdy Uniwersytet Poznański ogłosił ankietę na obsadę katedry języka polskiego, zgłosiłem swoją kandydaturę, a Kazimierz Nitsch ją mocno poparł. 1 lutego 1947 r. zostałem zastępcą profesora, do Ministerstwa Oświaty zaś posłano wniosek o nominację na etatowego profesora nadzwyczajnego. Wniosek przepadł na długo w biurku dyrektora departamentu i dopiero w 1948 roku nabrał biegu.

Rezygnując z katedry w Toruniu, obiecałem wyklądać do końca roku akademickiego, aby dać Toruniowi czas na pozyskanie kogoś nowego. Zgłosiło się dwoje kandydatów bez habilitacji, doszło do tarć w Radzie Wydziału między „obozem wileńskim” i „lwowskim”, więc dziekan prosił mnie jeszcze o rok dojeżdżania. Cóż było robić? Zgodziłem się.

Mieszkania nie było także w Poznaniu, więc w dalszym ciągu jeździłem w trójkącie Kraków — Poznań — Toruń — Kraków. Dwa razy w miesiącu jeździłem do Krakowa, częściej z Poznania do Torunia i z powrotem. Po kilku miesiącach przydzielono mi w Poznaniu pokój w hoteliku profesorskim.

Niektóre podróże zostały mi w pamięci. W jednym z pierwszych dni lutego 1947 r. wyjechałem z Krakowa około godziny 20. W pociągu miejsca siedzące były zajęte, ludzie stali na korytarzu, ja zaś siedziałem przy toalecie na walizce. W Katowicach wtargnął tłum ludzi. Musiałem stać, byłem tak ściśnięty, że bałem się zemdlenia. W Gliwicach parę osób wysiadło, było luźniej. W Opolu koło 4 godziny pociąg stał długo, parę osób wyszło na peron i właśnie wtedy zaczął się z przedziałów ciąg do toalety. Na koniec — pociąg był już w biegu — otwarłem i ja drzwi do toalety. Ku mojemu zdziwieniu ujrzałem tam kobietę po wiejsku ubraną, opartą o otwarte okno. Głowę miała zakrytą grubą chustką; powiedziała: „róbcie sobie co chcecie”. Siedziała tam chyba od Katowic. We Wrocławiu mogłem wreszcie usiąść w przedziale. Była już godzina 10 z minutami, więc miałem nadzieję, że zdążę na wykład, potem na seminarium, wyznaczone na godzinę 17. Dodać muszę, że miały to być moje pierwsze wykłady w Poznaniu! Wreszcie o godzinie 14 stanęliśmy w Gądkach, przedostatniej stacji. Wiedziałem, że na wykład nie zdążę, ale miałem nadzieję, że zdążę na seminarium. Niestety okazało się, że pociąg nie może ruszyć, bo wparł się w gruby śnieg. Ostatecznie

stanęliśmy w Poznaniu o godz. 17. Dźwigając walizkę, dotarłem na ulicę Matejki do hoteliku profesorskiego i zgłosiłem się do jego zarządcy, prof. Adama Skalkowskiego, bo tam, według listu dziekana, miał czekać na mnie pokój. Pokoju nie było. Podano mi adres dziekana, więc wierny swojej walizce pojechałem z nią na ul. Różaną. Zestawiono cztery krzesła, dano dwa koce i poduszkę. Rano pojechałem do Torunia, gdzie miałem na stałe wynajęty pokój.

Była zima, kiedy jechałem z Krakowa do Torunia przez Częstochowę-Stradom; jest to mały dworzec kolejowy w częstochowskiej dzielnicy Stradom. Pociąg z Krakowa miał tu zastać pociąg wahałowy, który miał wracać do Torunia. Pociągu nie było, ale był tęgi mróz. Po długim czasie pociąg nadjechał; był zamarznięty — okna, drzwi, oblodzone stopnie. Przyszła nowa drużyna konduktorska i wtedy niespodzianka: nowy kierownik pociągu, widocznie Poznaniak, oświadczył, że pociąg nie nadaje się do jazdy. Po targach naczelnik stacji kazał dwu kolejarzom rozgrzać przewody, którymi miała popłynąć gorąca para; z pochodniami w ręku czołgali się pod wagonami od lokomotywy do ostatniego wagonu. Po godzinie mogliśmy odjechać.

Gdy wracałem do Poznania z Torunia, czasem przesiadałem się na boczne linie, aby zwiedzić historyczne miasta: Kruszwicę, Strzelno, Mogilno, Trzemeszno i oczywiście Gniezno.

Ponure były częste podróże z Poznania do Warszawy. Pociąg, wychodzący ze Szczecina ok. godz. 2 w nocy, był przepelniony zaspanymi, spoconymi ludźmi, niełatwo było o miejsce, często trzeba było postać. O hotel w Warszawie było wtedy bardzo trudno, jeżeli jakaś państwowa instytucja nie zamówiła pokoju dostatecznie wcześniej. Te moje nocne jazdy przypomniał mi mój sąsiad, prof. Adolf Chybiński, na ostatnim, pożegnalnym posiedzeniu Rady Wydziału Humanistycznego.

W Krakowie doglądałem prac w *Słowniku staropolskim*. W 1947 r. zostałem kierownikiem pracowni słownikowej. Przygotowałem i wydałem zeszyt próbny, wyinstruowałem nowe siły: dr Halinę Safarewiczową, dr Ewę Ostrowską i mgra Andrzeja Siuduta. Udało mi się uzyskać w Ministerstwie Oświaty stały fundusz na opłacenie studentów; praktykantów przewinęło się przez pracownię kilkanaścioro, większość z nich po próbnych miesiącach musiała odejść. W tej grupie wychował się tu obecny prof. Marian Kucala. Ze względu na *Słownik* jeździłem do Krakowa nawet po zamieszkaniu w Poznaniu. Od 1949 r. byłem członkiem Głównej Komisji Ustalania Nazw Miejscowości, więc co najmniej raz na kwartał jeździłem na jej posiedzenia, zwykle 3-dniowe, do Warszawy. Także

współpraca z IBL wtedy, gdy się ustalało zasady redakcyjne *Słownika polszczyzny XVI w.*, wymagała dojazdów; byłem jednym z inicjatorów *Słownika*.

Ostatecznie pożegnałem się z Toruniem z końcem czerwca 1948 r. W ciągu tych dwóch lat zaprowadziłem w katedrze jakiś taki porządek, doktoryzowałem swojego asystenta, Anatola Mirowicza, czym zyskałem sobie w Uniwersytecie mocną grupę wilnian. Bodaj, że był to pierwszy doktorat na Wydziale Humanistycznym UMK. Wychowałem parę osób, które później zostały asystentami. W 1949 zgłosiła się w Poznaniu do habilitacji pod moim patronatem wilnianka, dr Halina Turska, która po mnie objęła katedrę w UMK. Przez dwa lata był moim studentem Franciszek Peplowski, obecnie profesor IBL. Moim uczniem był też prof. Zbigniew Ogonowski, filozof.

W Poznaniu sytuacja katedry języka polskiego była trudna: przedwojenny profesor, Edward Klich, został rozstrzelany w 1939 r. przez Niemców; sławista prof. Henryk Ułaszyn osiadł w Łodzi. Po wojnie najpierw czekano, aż się sprawdzi wiadomość, że wychowanek UP, doc. Adam Tomaszewski, zmarł, wracając z Niemiec, gdzie go wywieziono. Potem spodziewano się prof. Witolda Taszyckiego, ten jednak postarał się o katedrę w Krakowie. Wykłady i ćwiczenia prowadzili dr Stefan Sasaki i dr Ignacy Stein, obaj dobrzy językoznawcy, ale nisko ustawieni w hierarchii uniwersyteckiej; obaj byli zbyt pobłażliwi. O wyższym seminarium nie mogło być mowy, więc nic dziwnego, że kierunek językoznawczy na polonistyce nie istniał. Nawet asystent był historykiem literatury, bo nie było nikogo z wykształceniem językoznawczym. Na ćwiczeniach zaprowadziłem dyscyplinę i egzaminowałem twardo, mimo to miałem sympatię studentów. Na seminarium zgłosiły się dwie osoby, liczba ich rosła z każdym rokiem.

Do „wczesniaków” należał mój dzisiejszy promotor, Karol Zierhoffer, także Wanda Budziszewska, dziś profesor w Instytucie Słowianoznawstwa PAN, nieco później Barbara Ceglowa, prof. Monika Gruchmanowa, której pracą magisterską żywo zainteresował się prof. Kazimierz Nitsch; potem przy okazji rozmawiał z autorką, a po rozmowie bardzo ją pochwalił. Pracę doktorską Zierhoffera recenzował profesor Witold Taszycki i zapytany przeze mnie, czy może to być praca kandydacka, odpowiedział: „Nawet na stopień doktora nauk” (wówczas najwyższy stopień naukowy). Potem pojawiły się inne talenty, jak Zygmunt Zagórski, Irena Kwilecka itd. Z historyków literatury wymienię profesorów Jarosława Maciejewskiego, Tadeusza Witczaka, Paulinę Buchwald-Pelcową.

Bardzo korzystna dla studentów była od 1949 r. obecność prof. Władysława Kuraszkiewicza, kierownika Katedry Filologii Słowiańskiej. Dzięki naszej przyjacielskiej współpracy językoznawstwo poznańskie zdobyło sobie autorytet w kraju.

Bodaj pierwszy w Polsce urządzałem wycieczki dialektologiczne ze studentami. Szło mi o to, aby studenci nie zapoznawali się z gwarami tylko z podręcznika. Pamiętam wycieczkę pod Rogoźno, na zachodni koniec gwar wielkopolskich do Nowego Kramaska, do Dąbrówki, pod Gostyń, do Pyzdr. Dla wielu studentów były to pierwsze zetknięcia z chłopami. Kilka osób prowadziło potem badania dla *Małego atlasu gwar polskich*, co niekiedy niepokoiło „czujną” milicję, w jednym miejscu zakazano zbierania materiałów.

Ułożyłem plan naukowy na najbliższe lata: prace miały iść w trzech kierunkach: historii języka polskiego; dialektologii i onomastyki. Chciałem pracami magisterskimi opracować dialekty wielkopolskie i nazwy miejscowe w Wielkopolsce. Kilka takich prac powstało jeszcze przed moim odjazdem.

Już przed objęciem stanowiska nawiązałem współpracę naukową z ośrodkiem poznańskim, mianowicie prof. Zygmunt Wojciechowski, założyciel Instytutu Zachodniego, zaproponował mi napisanie artykułów o polskości nazewnictwa na Dolnym Śląsku i na Ziemi Lubuskiej. W związku z tym wziąłem udział w wyprawie pracowników Instytutu na Ziemię Lubuską. Przekonałem się wtedy, że dla onomasty cenne jest naoczne poznanie kraju, którego nazwy się objaśnia. Zobaczyłem przy tej okazji, jak po barbarzyńsku niszczyły ten kraj wojska i przechodząca za nimi fala szabrowników.

Wziąłem udział w wydawaniu *Słownika starożytności słowiańskich* jako redaktor działu wierzeń i recenzent poszczególnych tomów przed oddaniem rękopisu do druku.

Póki dojeżdżałem do Krakowa, rzadko bywałem na posiedzeniach Rady Wydziału, wtedy jeszcze Wydziału Humanistycznego. Przeciętny wiek profesora był bez mała 70 lat, więc ja jeszcze nie 40-letni na ich tle wyglądałem nieprzyzwoicie młodo. Kiedy zostałem dziekanem, mając 41 lat, studenci i urzędnicy brali mię za studenta. Ostatnie wybory na dziekana wyglądały żałośnie; kilku najstarszych panów namawiało się długo na kandydowanie. Wreszcie dał się wybrać prof. Mikołaj Rudnicki. Na posiedzeniach wydziału byłem aktywny, doszło do tego, że dziekan sam spoglądał w moją stronę, oczekując propozycji. Może to miało wpływ na mianowanie mnie dziekanem.

Byłem pierwszym dziekanem z nominacji, gdyż ustawa zniosła wybory. Byłem zaskoczony, bo nikt mię o zgodę nie pytał, dostałem tylko do rąk gotową nominację. Prodziekanem mianowano jeszcze młodszego doc. Gerarda Labudę, on jednak wnet zachorował na wiele miesięcy. Z obozu koncentracyjnego i innych wojennych przeżyć wyniosłem pewną zuchwałość w stosunku do przepisów: przede wszystkim załatwić sprawę, i to szybko, gdzie nie ma zakazu - załatwić na korzyść studenta; gdzie przepis mało sensowny, obejść go. Ucieszyłem się, gdy mi powiedziano opinię sekretarki: „O, nasz dziekan jest krótki”.

Oto kilka przykładów osobliwych spraw, które wypadało załatwić:

Wnet po objęciu urzędu, sekretarka przerażona powitała mnie wiadomością, że do godz. 12 (a była 10) musimy do kancelarii rektorskiej podać przewidywaną liczbę studentów na pięć lat. W pierwszej chwili wpadłem w popłoch: jak to? Przecież powinienem zebrać informację od kierowników katedr! Gdzież ich dosięgnę? Ale spytałem, czy była kiedyś stawiana taka prognoza? „Naturalnie, odpowiedziała sekretarka, była rok temu”. „Więc dawać ją!”. Teraz problem: zmienić prognozę, czy pozostawić bez zmian? Zmienić! Zaprojektowałem wzrost przez dwa lata, potem mały spadek, w piątym roku stabilizację. I na maszynę! O godz. 12 przyszedł urzędnik z działu planowania: „Jest prognoza?” „Jest! nieco zmieniona, czy to nie szkodzi?” „Nie, właśnie ministerstwo chce wiedzieć, co przewidujecie po rocznych doświadczeniach!” Po roku podzielono wydziały, wprowadzono studia 3-letnie, o prognozę nikt nie pytał.

Lata mojego dziekanowania były politycznie trudne, wzrosła bowiem ingerencja partii w życie uniwersyteckie. Była ona silniejsza w Poznaniu niż w Toruniu i Krakowie. Niepomyślnym wydarzeniem stała się ciężka i przewlekła choroba rektora Ajdukiewicza, który był wielkim autorytetem. Jego zastępca, prof. Bolesław Kuryłowicz, członek partii, był człowiekiem mało ciekawym. W POP czyli Podstawowej Organizacji Partyjnej, rządzili dziwni ludzie, np. jakiś asystent, leśnik ściągnięty *ad hoc* z lasów, studentka V roku. „Niech się uczy” powiedziano mi, gdym spytał, jak to możliwe, żeby studentka zajmowała najbardziej wpływowe stanowisko w uniwersytecie. Pierwsze zadrażnienie między mną a POP zaszło z powodu ataku na asystentów, Jarosława Maciejewskiego i Zbigniewa Raszewskiego. Ktoś mię dyskretnie uprzedził, że mają być zwolnieni. Szło zwłaszcza o Raszewskiego, który za miesiąc miał przejść do PAN, a żona właśnie miała rodzić. Istotnie po paru dniach zastałem na biurku pismo prorektora, zwalniające Raszewskiego: miałem mu

doręczyć następnego dnia - był to ostatni termin. Włożyłem pismo do szuflady. POP wystąpiła z wnioskiem o pozbawienie mię funkcji dziekańskiej, jednak wydziałowa organizacja partyjna wystąpiła w mojej obronie - byłem wśród studentów popularny - więc z Warszawy przyjechał prof. Włodzimierz Michajłow, dyrektor departamentu, dla zbadania sprawy. Odbyła się narada w Komitecie Wojewódzkim. Wyszedłem cało. O całej sprawie dowiedziałem się *post factum*, więc nie musiałem się denerwować.

Bardzo wiele kłopotów sprawiała mi katedra filologii romańskiej, którą kierował profesor, dojeżdżający z Torunia. Krążyły anonimy, departament personalny w Ministerstwie nie zatwierdził proponowanych lektorów, lecz wyznaczył własnych. Gdy zawiodłem się na prorektora, pojechałem do ministerstwa i dzięki dobrym radom przyjaznych urzędników pozbyłem się kłopotliwego romanisty. Wtedy ściągnąłem z Tuchowa dra Stanisława Gniadka, który się utrzymał nawet po rozwiązaniu katedry romanistyki.

W pewnym momencie Ministerstwo zawiesiło katedry neofilologii poza Warszawą, postanowiło bowiem stworzyć w Warszawie silne centrum neofilologii; tu wychować kandydatów na profesorów i wtedy uruchomić nieczynne katedry. Uważałem ten projekt za złudny: nie wierzyłem w warszawskie środowisko i byłem pewny, że ewentualnych wychowanków nikt nie zmusi do opuszczenia Warszawy: *Extra Varsoviam non est vita!* Otrzymałem nakaz przekazania biblioteki romanistycznej do Uniwersytetu Warszawskiego, ale napisałem do minister Eugenii Krassowskiej list prywatny z prośbą o cofnięcie polecenia, bo gdy stracimy bibliotekę, to w przyszłości nie otworzymy romanistyki. Na wszelki wypadek upoważniłem doc. Ludwika Zabrockiego, aby co cenniejsze książki przeniósł do germanistyki. Krassowska rozkaz cofnęła.

W pierwszym roku dziekanowania Ministerstwo zleciło mi jeszcze dwie funkcje. Po pierwsze, zaprojektowanie instytutów, tj. zespołów pokrewnych katedr. Zaprojektowałem chyba trzy, zatwierdzono tylko jeden - historyczny; instytutu historii literatury polskiej nie zatwierdzono, zapewne przez niechęć do prof. Romana Pollaka i Zygmunta Szweykowskiego. Po drugie, zlecono mi prawo aprobaty skryptów wydawanych w Poznaniu, Gdańsku i Szczecinie. Mogło to być kłopotliwe, na szczęście skryptów zgłoszono trzy czy cztery z dziedzin słabo ideologicznych.



W r. 1951 Wydział Humanistyczny został podzielony na Historyczny, Nauk Filologicznych i Społecznych; mnie przypadł oczywiście ten ostatni<sup>2</sup>.

W r. 1951 Ministerstwo zaprowadziło podstawowe studia 3-letnie i specjalistyczne 2-letnie. Zezwolenie na językoznawcze studia wyższe otrzymał tylko Uniwersytet Warszawski, Jagielloński i Poznański. Studentów z Wrocławia, Torunia i Lublina skierowano do nas. Wtedy pojawił się Leszek Moszyński, Zofia Kozińska-Zierhofferowa, Leokadia Słomkówna-Dukiewiczowa, Stefan Warchoń, Feliks Pluta. Razem z poznaniakami utworzyło się dość liczne i utalentowane środowisko. Po kilku latach część z nich poszła profesoriować w innych uniwersytetach. Tak Uniwersytet Poznański zasilił słabsze uniwersytety.

Niektóre posunięcia partyjne były wręcz głupie. Np. jednej asystentce wręczono zwolnienie z pracy z uzasadnieniem, że splamiła swoje ludowe pochodzenie, wychodząc za hrabiowskiego syna. Ponieważ nie poskutkowało interwencja w Ministerstwie Szkół Wyższych, pokrzywdzona udała się za moją radą do Komitetu Centralnego, gdzie uzasadnienie wywołało sensację; po dwu tygodniach zwolnienie cofnięto. Po tym zdarzeniu asystentka wolała doktoryzować się u mnie w Krakowie i z czasem przejść do pracy w PAN.

Podobnie głupio zaatakowano Leona Kaczmarka, kierownika Zakładu Fonograficznego, zarzucając nadużycie, a potem delegat POP przyszedł do mnie z prośbą, abym napisał negatywną opinię o protokole komisji oskarżającej Kaczmarka. Po niedługim czasie zaopiniowałem go na zastępcę profesora UMCS.

Pewien profesor, człowiek bez wątplenia inteligentny i rzeczywisty uczony, ale chimeryczny, złożył pisemny wniosek, aby Rada Wydziału zaliczyła studentowi pracę w Komitecie Wojewódzkim za brakujące mu seminarium. Z trudem udało się go przekonać, że to niemożliwe, proponując inny sposób pomyślnego dla studenta załatwienia sprawy. Następnego dnia wysłał do KW skargę na dziekana i Radę, że pognębiła członka PZPR, a mniej była wymagająca, gdy się do doktoratu zgłosił ks. Bernard Sychta (wybitny znawca kaszubskiego folkloru). Inny rozsądny student wyjaśnił tej instancji, o co chodzi. „Pokrzywdzonemu” studentowi powiedziałem, że działaliśmy dla jego dobra, że po jakiejś zmianie układów w partii może być oskarżony o nadużycie funkcji partyjnej dla osobistej korzyści. Po dwu czy trzech miesiącach rzeczywiście został pozbawiony swojego stanowiska.

---

<sup>2</sup> Z początkiem roku akademickiego 1951/52 doszło do podziału Wydziału Humanistycznego na dwa: Filologiczny i Filozoficzno-Historyczny. Stanisław Urbańczyk został dziekanem Wydziału Filologicznego.

Moja kadencja skończyła się w r. 1954; następcą został prof. Ludwik Zabrocki. Funkcja dziekańska była po części korzystna, bo dawała przez zasiadanie w senacie wgląd w całe życie uniwersytetu; w moim wypadku miała uboczny wpływ szkodliwy, bo nawet po godzinach urzędowych trudne sprawy, spory, psikusy POP, związku zawodowego zaprzętały myśl.

Większość tego rodzaju zmartwień odeszła ode mnie wraz z urzędem dziekana. Zyskałem czas dla siebie i dla uczniów. Studentów na wykładach miałem dużo, sporo też było na seminarium wyższym. Pod koniec urzędowałem zebrania asystentów i starszych studentów poświęcone teorii języka, w szczególności fonologii; referowano prace Baudouina de Courtenay i prace praskiego Kółka Fonologicznego. Chociaż tych zajęć nie było wiele (mój wyjazd!), myślę, że zachęciły młodych do dalszego studiowania podobnych zagadnień. Wykłady prof. Kuraszkiewicza poszerzały horyzonty studentów językoznawców poza polonistykę.

Tak powstała spora grupka językoznawców, którą dalej opiekował się Władysław Kuraszkiewicz. Większość z nich pozostała przy nauce, potem przyszła nowa generacja studentów i nowi młodzi oddani nauce. Dziś językoznawstwo w UAM jest silne i ma warunki dalszego pomyślnego rozwoju.

W tych latach urosły też inne „rozrywki”. W r. 1953 powstał Komitet Językoznawstwa, którego członkiem byłem od początku; zbierał się co miesiąc, w Warszawie lub w Krakowie na zmianę. Dalej działała Główna Komisja Ustalania Nazw Miejscowości, opiniowanie projektów nazw. W Krakowie PAN stworzyła od stycznia 1953 r. Zakład Językoznawstwa, którego kierownikiem był prof. Kazimierz Nitsch, a ja jego zastępcą. Ponieważ tracił on wzrok, moja współpraca była coraz bardziej potrzebna. Prace nad atlasem nabrały rozmachu, *Słownik staropolski* zaczął wreszcie wychodzić zeszytami. Kazimierz Nitsch teraz nalegał, nawet z gniewem, abym wrócił do Krakowa. Dla mnie przeprowadzka do Krakowa miała tylko jedną wartość: przestanę kursować między Krakowem a Poznaniem. Rezygnacji z redagowania *Słownika staropolskiego* nie brałem pod uwagę.

W końcu przez interwencje z Warszawy przydzielono mi w Krakowie mieszkanie trójpokojowe, mniej niż połowę mieszkania poznańskiego. Etat mój ulokowano w zespołowej Katedrze Filologii Słowiańskiej — miałem się zajmować językami zachodniosłowiańskimi, czyli w praktyce wyklądać o języku czeskim, bo istniał właśnie taki kierunek studiów. Studentów miałem bardzo mało, chyba nigdy nie więcej niż sześciu. Wielki czeski

językoznawca, Bogusław Havranek, powiedział: „My Czesi możemy się cieszyć, że pan jest bohemistą, ale my nie dalibyśmy Panu tak się marnować”; szło oczywiście o marnowanie jako dydaktyka. Gdy prof. Tadeusz Lehr-Spławiński przeszedł na emeryturę, ja objąłem kierownictwo katedry, lecz i to nie poprawiło mojej sytuacji jako nauczyciela. Ale jednak znaleźli się wybitni uczniowie: Józef Reczek, Roman Laskowski, Henryk Wróbel, Waław Twardzik, Waław Fedorowicz. Mój związek z poznańskimi uczniami jednak trwał. Dostyc często bywałem w Poznaniu, spotykałem się z nimi, przynosiłem im wiadomości „co słycać” w Krakowie, Warszawie, w Komitecie Językoznawstwa, na sesjach naukowych, recenzowałem ich prace doktorskie i habilitacyjne.

Że ten związek uczuciowy i naukowy nie wygasł, świadczy dzisiejsza uroczystość - ich staraniom w pierwszym rządzie zawdzięczam, że spotkał mię wielki zaszczyt otrzymania godności doktora honorowego Uniwersytetu Adama Mickiewicza. Dziękuję im gorąco. I jeszcze raz dziękuję Panu Rektorowi, członkom Senatu, Dziekanowi Wydziału Filologii Polskiej i Klasycznej oraz Promotorowi. Dziękuję zebranej tu publiczności: dawnym uczniom, przyjaciółom, nade wszystko zaś rodzinie, która tu się stawiła z Krakowa, Głogowa, Bolesławca, Szamotuł, Kalisza, Jarocina, Wilczy i Poznania.

[Oprac. J.M.]